MICHALINA GRYCIUK

Warszawa, 14 lutego 1946 r. Sędzia St. Rybiński, delegowany do Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, przesłuchał niżej wymienioną w charakterze świadka, pod przysięgą. Świadek została pouczona o obowiązku mówienia prawdy oraz o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań i następnie zeznała:

Imię i nazwisko	Michalina Gryciuk z domu Dudzik
Data urodzenia	12 września 1897 r.
Imiona rodziców	Franciszek i Anna z Dubińskich
Zajęcie	przy mężu
Wykształcenie	czytam i piszę
Miejsce zamieszkania	Warszawa, ul. Nowogrodzka 34 m. 24
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarana

Stawiłam się na skutek odezwy, ogłoszonej przez Okręgową Komisję w dziennikach. Na stwierdzenie tożsamości okazuję swoją kartę rozpoznawczą N 537621 (okazano). W czasie wojny i okupacji, aż do powstania warszawskiego, mieszkałam w domu numer 124 przy ul. Chmielnej w Warszawie razem z mężem. Wcześniej mieszkali tam z nami trzej synowie.

9 kwietnia 1940 roku z mieszkania wyszedł i nie wrócił więcej do domu syn mój Ryszard Grzegorz (urodzony 28 grudnia 1921 roku). Wyszedł o 11.00 rano i wszelki ślad po nim zaginął. O dalszym jego losie nic się dowiedzieć nie mogłam.

9 października 1940 roku również wyszedł z domu i nie wrócił drugi syn mój Michał Gryciuk (urodzony 23 września 1924). Denerwowały go łapanki i mówił przed wyjściem, że gdzieś wyjedzie. 16 marca 1943 roku otrzymałam przez Czerwony Krzyż wiadomość, że syn jest w Londynie. Po opuszczeniu domu przez Michała(o którym nie wiem obecnie, gdzie jest i co robi) w domu pozostał trzeci syn nasz, najstarszy, Zbigniew Gryciuk (urodzony 11

marca 1920 roku). Syn ten ukończył szkołę powszechną i pracował jako tokarz metalowy w fabryce Bieler (ul. Skierniewicka 5 na Woli) aż do wybuchu wojny. Potem poszedł do wojska jako ochotnik i brał udział w bitwie pod Boernerowem. Udało mu się uniknąć niewoli niemieckiej i wrócił do domu. 10 stycznia 1941roku zatrzymano go w czasie łapanki i wywieziono do Niemiec, gdzie był zmuszony pracować w swym zawodzie w Kassel. W czerwcu 1941 został zwolniony z robót na skutek słabego zdrowia. We wrześniu tego samego roku został zawezwany przez Arbeitsamt i powtórnie wywieziony do Niemiec, tym razem do Monachium. Pracował tam również w swoim fachu aż do wiosny 1943. Następnie syn wkrótce potem wyjechał do Smoleńska i powrócił 16 września 1943. W Smoleńsku pracował również w swoim fachu. Po powrocie Zbigniew pozostawał w domu i nigdzie nie pracował. 12 listopada 1943 syn wyszedł z domu i udał się do swej narzeczonej Jadwigi Pawlikowskiej, zamieszkałej przy ul. Emilii Plater 20. Wyszedł z domu w porze poobiedniej. Tego dnia na ul. Emilii Plater agenci gestapo chodzili po domach i przeprowadzali rewizje oraz sprawdzali dokumenty. Zbigniewa zastali w mieszkaniu narzeczonej razem z drugim chłopakiem, narzeczonym siostry Pawlikowskiej. Ten ostatni nazywał się Roman Ostrocin i mieszkał w Sulejówku.

Gdzie obecnie znajduje się jego rodzina, ja nie wiem. Jadwiga Pawlikowska oraz jej siostra Stanisława – narzeczona Ostrocina – mieszkają obecnie na ul. Noakowskiego (numeru domu nie znam).

Agenci gestapo wylegitymowali syna i Ostrocina, pozwolili im iść do domu, przy czym kazali im iść w stronę Dworca Głównego. Oni jednak, bojąc się, że po drodze znów trafią na gestapo, zdecydowali wejść do domu przy ul. E. Plater21, przypuszczając, że tam ich już gestapo nie zatrzyma i chcąc tam spędzić noc u siostry ich narzeczonych. Gdy weszli w bramę, zostali zatrzymani przez innych gestapowców i zaprowadzeni do mieszkania dozorcy tego domu. Tam, jak opowiadała mi córka dozorcy (nazwiska nie znam i nie wiem, gdzie ona teraz mieszka, bo dom został spalony w czasie powstania) gestapowcy wylegitymowali syna i Ostrocina, przy czym syn mój wycofał się i coś tłumaczył agentowi gestapo, lecz ten ostatni oburzył się i uderzył syna w twarz.

Nazajutrz przyszły Jadwiga i Stanisława Pawlikowskie i powiedziały, że zarówno Zbigniew, jak i Ostrocin, są zaaresztowani i znajdują się na Pawiaku. Dowiedziałam się wówczas od Mariana Pawlikowskiego, brata narzeczonej Zbigniewa, że jest pewna Niemka, która może

postarać się, by syna zwolniono. Pawlikowski poznajomił mnie z niejaką Ochmańską (imienia nie wiem), która mieszkała wówczas przy Elektoralnej (numeru domu nie wiem), a gdzie się teraz znajduje, nie wiem. Ochmańska zaprowadziła mnie na ul. Oleandry pod numer 4, gdzie mieszkała młoda Niemka o nazwisku Bock, która, jak mi powiedziała Ochmańska, była sekretarką komisarza Leista. Niemka ta zgodziła się podjąć starania, by syna zwolniono i zażądała za to 50 tys. zł, a tymczasem chciała otrzymać ode mnie 10 tys. zł. Ja zgodziłam się na to, zapłaciłam żądaną sumę, pozostałe 40 tys. zł miałam jej wypłacić w trzy dni po zwolnieniu syna. Była ta rozmowa w mieszkaniu Niemki Bock w poniedziałek, 15 listopada 1943.

Syn był aresztowany w piątek, 12 listopada, a w sobotę już figurował na rozklejonej po mieście liście jako zakładnik, przeznaczony do rozstrzelania. Bock, zanim wzięła ode mnie pieniądze, wyszła na ulicę, rzekomo poszła do gestapo, by się dowiedzieć, czy może syn być zwolniony, a gdy powróciła po kwadransie, powiedziała mi, że syn będzie zwolniony za trzy dni pod warunkiem, że wypłacę jej wskazaną wyżej sumę.

Ta Niemka Bock, której imienia nie znam, była młoda, lat około 21, przystojna, wzrostu niewysokiego, ciemna blondynka. Miała męża lat trzydziestu kilku. Oboje oni mówili biegle po polsku. Mieli ośmiomiesięczne dziecko. Mimo zapewnień, że syn mój będzie wkrótce zwolniony, już 17 listopada, we środę, w godzinach popołudniowych rozplakatowana została na mieście lista rozstrzelanych, przy czym na tej liście figurowało nazwisko i imię mego syna. Ostrocin, który na poprzedniej liście zakładników był wymieniony również, tym razem nie figurował na liście rozstrzelanych. Jego rodzina robiła również starania na innej drodze i on wówczas nie był rozstrzelany, jednak z więzienia nie wyszedł i w maju znów figurował na liście przeznaczonych do rozstrzelania zakładników, liście ostatniej. Nie wiadomo, co się z nim stało, bo do domu nie powrócił.

Gdzie jest obecnie jego rodzina, ja nie wiem.

Gdy się dowiedziałam o rozstrzelaniu syna, poszłam do Niemki Bock i zaczęłam ją rozpytywać, co się stało z synem. Ona zaprzeczyła, by syn mój został rozstrzelany i zapewniała, że wyjdzie wkrótce z więzienia, później zaś twierdziła, że wywiozą go do obozu za Lublinem, bo się wykryło, że należał do konspiracji. W niecałe dwa tygodnie byłam znów u niej. Powiedziała mi wówczas, że poznajomi mnie z gestapowcem, który postara się

zwolnić mego syna. Istotnie poprowadziła mnie na aleję Szucha i tam poznajomiła mnie z owym gestapowcem, spotkanym przez nas na ulicy.

Jak się on nazywał, nie wiem. Był to wysoki brunet, szczupły, przystojny, słabo mówiący po polsku mężczyzna. Był w uniformie gestapowskim, z trupią główką na czapce. Ten gestapowiec powiedział, że syn wróci do mnie za miesiąc, a następnie zaczął rozmawiać z Bockową po niemiecku. Ta ostatnia odezwała się do mnie, że trzeba temu Niemcowi dać 30 tys. zł. Ja oświadczyłam, że obiecałam już nie 30 tys., lecz 40 tys. zł, ale wtedy, gdy syn mój wróci. Niemiec obiecał mi wtedy, że zajdzie do mnie ubrany po cywilnemu i zapytał o mój adres. Jednak więcej go nie widziałam.

Gdy poszłam jeszcze raz za parę dni do Bockowej i zaczęłam płakać, że mnie zwodzi, odpowiedziała: „niech się pani uspokoi, bo i panią mogą sprzątnąć", a jej mąż odezwał się: „niech się pani uspokoi, bo Niemcy mówią, że Polaków można tracić setki na godziny, bo Polaków jest jak wszów; pani wie, że w Kijowie szubienice na ulicach stoją". W ogóle z początku przez dwa tygodnie chodziłam do Bockowej co dzień. Następnie zaczęłam się ich obawiać, zwrotu wpłaconych pieniędzy nie żądałam i w końcu na wiosnę poszłam do niej i powiedziałam, że wyjeżdżam do Krakowa do szpitala, bo źle widzę, gdyż z powodu zdenerwowania osłabł mi wzrok, mąż zaś mój pojedzie do Niemiec na roboty. Powiedziałam tak, bo bałam się ich.

O synu swym Zbigniewie od czasu rozklejenia plakatu, że jest rozstrzelany, nic się nie dowiedziałam. Po wybuchu powstania, które męża zastało na ul. Nowogrodzkiej, mąż nie mógł wrócić do domu. W końcu 17 sierpnia Niemcy zabrali go i wywieźli do Niemiec. Był tam w obozie pracy, ciężko pracował i powrócił bardzo wycieńczony w październiku 1945 roku.

Mieszkamy oboje w suterenie, na betonowej podłodze, po ciemku, w ciężkich warunkach.

Mąż mój nazywa się Grzegorz Gryciuk.

Na plakacie oznajmiającym o rozstrzelaniu syna była wzmianka, że egzekucja publiczna odbyła się na nasypie przy Dworcu Zachodnim. Tam jest krzyż i tablica z wiadomością, że to jest miejsce egzekucji. Chodzę tam i noszę kwiaty.

Od czasu śmierci syna bardzo źle widzę.

Odczytano.